

542 730
Tomik 2

35 groszy



NOWY
NICK CARTER

PRZYGODY SŁYNNEGO
DETEKTYWA AMERYKAŃSKIEGO

Skradziony Król



110

PRZADU
ZANY
MISTROU
1922

2

HOWY NICK CARTER

tomik 2

SKRADZIONY KRÓL

NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA“
WARSZAWA UL. SIENNA 3

Przekład autoryzowany z niemieckiego
Wszelkie prawa zastrzeżone.



Zakłady Graficzne „Zjednoczeni Drukarze“
Warszawa, ul. Elektoralna 15.

I.

Niezmiernie doniosłe wypadki, które o mało co nie zepchnęły dwa państwa w odmęt strasznej wojny, jak wszystkie wielkie zdarzenia, miały zgoła niewinny początek.

Pewnego wiosennego poranka fotograf Stanisław Raczo, przedstawił ochmistrzowi dworu wydane przez ministerstwo pozwolenie na odwiedzenie zamku w celu sfotografowania Króla Illirji.

W jaki sposób nieznanym nikomu fotograf otrzymał pozwolenie, którego odmawiano miejscowym zakładom, można było objaśnić sobie tylko tem, iż pozwolenie owo było sfałszowane, choć i takie tłumaczenie nie dawało jeszcze odpowiedzi na pytanie, skąd ono pochodziło, tembardziej, że następnie stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, iż dokument był bezwzględnie autentyczny, zaopatrzony był bowiem na jednym z rogów w umówiony tajny znak.

Zdjęcie odbyło się przy zachowaniu zwykłego ceremonjału i zwykłych ostrożności.

Tajny policjant ani na chwilę nie odstępował fotografa.

Czterej urzędnicy rozstawieni byli w czte-

rech rogach sali i bacznie śledzili każdy ruch fotografa.

Z niedopuszczalną wprost powolnością rozstawiał on swój aparat, badał oświetlenie, zsuwał i rozsuwał portjery, czuł się wogóle panem sytuacji: szeptem zwrócił się nawet do towarzyszącego mu policjanta, aby pozwolił mu z innej strony zbliżyć się do Króla.

Tego odmówiono mu naturalnie, gdy jednak nastawał dalej, pozwolono mu podejść do Króla nieco bliżej, niż na przepisowe 3 kroki.

Wzruszając ramionami, przystąpił wreszcie do zdjęcia. Zwyczajowe „proszę o miły wyraz twarzy“ zostało naturalnie usunięte z repertuaru.

Trach!... Zdjęcie zostało dokonane. W dwieście minut potem fotograf opuścił zamek...

W kilka dni jednak po tym fackie zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. Kontrola graniczna została do tego stopnia obostrzona, że ze wszystkich niemal poselstw nadchodziły codziennie skargi na szykany straży granicznej. Dziennik anarchistyczny został zawieszony, w kołach rewolucyjnych dokonano licznych aresztowań. Na wszystkich rogach ulic stały posterunki w ostrem pogotowiu. Odlot samolotów pasażerskich został wstrzymany, że jednak codziennie przylatywały nowe, lotnisko było formalnie zapchane. Jak ciężkie chmury kłębiły się nad stolicą groźne roje wszelkich pogłosek i plotek. Mówiono, że bank państwa został okradziony, że jedna z księżniczek wyjechała potajemnie, że bankie-

rowi amerykańskiemu Morganowi skradziono dziesięć sztab złota. Nikt nie wiedział, co się stało rzeczywiście, więc każdy wiedział coś napewno.

W kilka dni potem w nowojorskiem „Evening Post“ ukazała się wiadomość pod sensacyjnym tytułem: „Król Illirji skradziony“

2.

Depesza, wysłana z Illirji, przybyła do Paryża, powędrowała stamtąd do Madrytu, a wreszcie na Lido. Tam została ona doreczona pewnemu panu wysokiego wzrostu, około lat trzydziestu, mocno opalonemu przez południowe słońce.

Depesza była zaadresowana do Nicka Cartera i zawierała tylko trzy wyrazy, które brzmiały krótko: „Król Illirji zniknął“. Jako podpis widniało pod depeszą nazwisko prezesa ministrów.

W godzinę potem lekki samolot sportowy uniósł się z lotniska i w karkołomnym tempie pomknął z Nickiem Carterem do Illirji.

Prezes ministrów odetchnął głęboko, gdy mu doniesiono, że Nick Carter jest już w drodze. To, czego pragnął od samego początku, miało urzeczywistnić się dopiero teraz, po upływie ośmiu dni.

Wszyscy słyszeli zapewne o Nicku Carterze, wielu znało go nawet, ale mało kto miał sposobność oglądać jego prawdziwe oblicze. Jako mistrz charakteryzacji ukrywał się on stale pod coraz to innymi maskami i stawał się przez to nieuchwytnym.

Wskutek tego stał się on wkrótce legendarną postacią: wiele osób przypuszczało, że jest on wymysłem literackim, połączeniem w jednej osobie właściwości tysiąca jednostek. A jednak był on takim samym człowiekiem jak my i miewał swe wesołe i smutne godziny...

Z trudem wynaleziono na zapchanem lotnisku wolne miejsce, aby Nick Carter mógł wylądować. Przed lotniskiem oczekiwało auto. Dokładnie w czternaście minut po wylądowaniu wjeżdżał już Nick Carter do bramy zamkowej.

Nie dano mu nawet tyle czasu, by mógł przebrać się; w zapyłonym kostjumie poprowadził go oficer służbowy przez puste schody i komnaty do okrągłej sali, w której przy świetle świecznika siedziała za ogromnem biurkiem jakaś postać kobieca.

— Serdecznie witam pana na ziemi Illiryskiej, ozwała się królowa Illirji. Jesteśmy w ogromnym kłopotcie. I naturalnie natychmiast pomyśleliśmy o panu. Nick Carter pochwił się nisko, z rycerską galanterją całując wyciągniętą doń rękę.

— Żałuję tylko, iż wcześniej nie było mi dane usunąć troski z nad głowy Waszej Królewskiej Mości.

— Wówczas w Raguzie miał pan istotnie prawo powiedzieć o sobie: veni, vidi, vici! Przyszędłem, spojrzalem, zwyciężyłem! Ale mam nadzieję, że i tym razem nie zawiedzie pan naszego zaufania.

Właściwym jej ruchem odrzuciła głowę

wtył i wskazała oczyma na trzech panów, którzy trzymali się w pełnem szacunku oddaleniu.

(Przedstawiła ich kolejno: prezes rady ministrów, minister sprawiedliwości i minister wojny.

— Siądźmy, dodała i usiadła sama, a za jej przykładem czterej panowie zajęli miejsca dookoła małego stolika. Na nowe jej skinienie zabrał głos prezes rady ministrów.

— Na życzenie Jej Królewskiej Mości zwróciliśmy się do pana, panie Nick Carter z prośbą, aby dopomógł nam pan w odnalezieniu zaginionego Króla Illirji.

4-go marca, a więc akurat przed tygodniem, o godzinie 10-ej i pół Król był widziany poraz ostatni przez kamerdynera i dwóch wartowników. Następnie sala została zamknięta. Warta pozostała przez całą noc pode drzwiami. Wartownicy są ludźmi nieposzlakowanymi i od wielu lat pełnią swą odpowiedzialną służbę bez zarzutu. Jakiegokolwiek podejrzenia co do nich są wykluczone. Zresztą posiadają oni tylko jeden klucz, drugi zaś odnosi kamerdyner do pokoju Jej Królewskiej Mości, gdzie nazajutrz znalazł go na tem samem miejscu.

Sala ma tylko jedno wyjście, te właśnie drzwi, koło których przez całą noc czuwa warta. Przewodów kominowych niema w niej wcale. Okna są zakratowane, ściany były kilkakrotnie, lecz daremnie badane w przypuszczeniu iż mogą w nich istnieć ukryte drzwi. Sala sama znajduje się na parterze w starej części zamku. Nie wykryto też żadnych śladów włamania. Drzwi

i okna są nienaruszone. Zniknięcie więc Króla Illirji jest zwłaszcza z tego powodu niezmiernie przykre... zająknął się.

Królowa referowała dalej sama: — Musi pan wiedzieć i o tem. Chcielibyśmy jednak, aby zatrzymał pan to przy sobie. W chwili obecnej prowadzimy rokowania z pewnem konsorcjum amerykańskiem w sprawie pożyczki. Tymczasem wobec zniknięcia Króla Illirji musiałyby uleść pewnej zwłoce. Nadmiar złego mamy obecnie nieurodzaj w kraju. Zatraskana pochylała głowę.

Nick Carter odparł, unosząc się lekko z fotela:

— Znając obecnie niebezpieczeństwo, w jakim znajduje się Illirja, ze zdwojoną energją zabiorę się do wyświeatlenia tej przykrej zagadki. Królowa uprzejmie kiwnęła mu głową: — Jestem zadowolona. Wiedziałam, że nie zapomni pan Raguzy, odrzekła.

Powstała, wszyscy poszli za jej przykładem. Na pożegnanie podała znów rękę Carterowi, i rzekła serdecznym tonem: Mam nadzieję, że da nam wkrótce znać o sobie. Bankierzy zgodzili się na krótką zwłokę.

Wyszła, a Nick Carter patrzył jeszcze chwilę w ślad za nią.

Wychodząc z sali, detektyw odezwał się do prezesa ministrów. — Co się stało z fotografem Raczko? Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie on mieszkał?

— Mieszkał?... On mieszka tu jeszcze. Na-

turalnie jest pod obserwacją. Ale skąd pan wie już o nim?

— Przed przybyciem na miejsce informuję się zawsze o szczegółach sprawy, którą mam się zająć, abym następnie odrazu mógł wziąć się do pracy.

Gdzie więc mieszka ten człowiek?

— Plac Selima 2....

— Dziękuję. — Dziwne, mruknął następnie do siebie. To obala wszelkie domysły.

3.

W towarzystwie prezesa rady ministrów przechodził Nick Carter następnego ranka szerokie korytarze zamkowe. Komnaty urządzone były z nadzwyczajnym przepychem, wszędzie stały warty, które z szacunkiem ustępowały na widok premjera.

Doszli wreszcie do niewielkiej sali, wyglądającej na poczekalnię.

Przy następnych drzwiach dwóch uzbrojonych ludzi stało na warcie. Ogromne pieczęcie, widniejące na drzwiach, wskazywały, że są już u celu swej drogi.

Na znak, dany przez premjera obaj odsunęli się ode drzwi. Pieczęcie wyobrażały herb państwa Illiryjskiego. Były nienaruszone.

Zerwał je, w zamku zgrzytnął klucz, ciężkie drzwi rozchyliły się na zawiasach, oczom wchodzących ukazała się duża, z przepychem urządzona sala.

Nick Carter zatrzymał się przy drzwiach. Zapewne nie znajdzie tu nic szczególnego, ale może uda mu się przynajmniej logicznie odtworzyć scenę, jaka musiała się tu rozegrać.

Sala miała formę kwadratu, ściany były prawie puste, rzadka tylko rozmieszczono na nich niewielkie obrazy. W lewej ścianie znajdowały się trzy okna, mocno okratowane. W czterech rogach stały wygodne fotele, pośrodku zaś wznosił się masywny postument, mający około 70 centymetrów wysokości i ze dwa metry obwodu. Udrapowana małowniczo spadała z niego ciężka, brokatowa materja. Postument był pusty.

Stąd zniknął słynny Król Illirji.

Po dwóch godzinach wyteżonych poszukiwań przekonał się Nick Carter, że ściany i okna były nienaruszone i nie zawierały żadnych sekretów. Masywne sklepienie wymagało jeszcze gruntownego zbadania od strony znajdujących się nad niem apartamentów. Staranne opukiwania nie wykazały również nic podejrzanego pod posadzką.

Postument zrobiony był z jednego bloku granitu i nie dawał żadnych powodów do jakichkolwiek podejrzeń. Wobec tego przestępstwo mogło być dokonane jedynie tylko z zewnątrz.

Ale jak? którądy?

Detektyw jeszcze raz obejrzał się dokoła. Początkowa jego praca była skończona. Twarz jego była marmurowo niema, gdy wyszedł do oczekujących nań ministrów.

— Znalazł pan coś? zapytał, nie kryjąc swe-

go wzburzenia, premier i odciągając go na stronę, dodał: Czy domyśla się pan już, w jaki sposób....

Nick Carter zaśmiał się. — Jasnowiedzem nie jestem. Muszę najpierw porządnie popracować, a potem dopiero biada sprawcom przestępstwa!

Przy ostatnich słowach głos jego nabrał twardości stali.

Jak przystało na wytrawnych dworaków, żaden z trzech ministrów najlżejszym drgnieniem twarzy nie zdradził swych myśli.

Nick Carter wyraził chęć zwiedzenia sali znajdującej się nad komnatą Króla, gdzie też zaprowadzono go natychmiast. Sala ta była również prawie pusta, tylko dokoła stały fotele, cały środek zaś był pusty. Detektyw przemierzył go kilkakrotnie krokami w szereg i wzdłuż, pilnie badając posadzkę, poczem wzruszając ciągle ramionami, kazał zaprowadzić się do piwnicy.

Tutaj wznosiły się potężne kolumny. W tym miejscu, gdzie według obliczeń Cartera, musiał znajdować się postument, stał olbrzymi słup z takiego samego granitu. Być może, że był to ten sam blok, który przechodząc przez posadzkę, tworzył u góry postument.

To było wszystko, co mógł zaobserwować.

Kazał następnie odprowadzić się do hotelu, a choć nie odczuwał wyczerpania, postanowił posilić się, aby nabrać siły do dalszej pracy, z której trudności zdawał sobie sprawę.

Z apetytem zabrał się do obiadu, przyrządzonego na sposób wschodni i zajęty własnymi

myślami, nie zwrócił uwagi na dwoje czarnych, jak węgle, oezu, które obserwowały go pilnie.

4.

Noc. Ciemność zalegała pokój. Nick Carter spał twardo i spokojnie.

Coś musnęło jego policzek. Zerwał się z łóżka i sięgnął po rewolwer. W pokoju nie było nikogo. Oczy jego przyzwyczyły się do ciemności. Rozejrzał się dokoła, nie zmieniając pozycji. Spojrzał na drzwi, były zamknięte. Okna zabezpieczone były za pomocą nitki, która zerwała się za dotknięciem okna i wprowadzała w ruch dzwonek elektryczny. A jednak coś się stało. Oczy jego dostrzegły coś białego, schwycił to coś, w rękach zaszeleścił mu kawałek papieru.

Błyskawicznym ruchem zaśwycił swą elektryczną latarkę. Pismo składało się z wyciętych, drukowanych liter. Treść jego brzmiała: „Nie szukaj Króla Illirji. Ostrzegamy cię.

ZWIĄZEK.

Nick Carter zaśmiał się.

Wszystko szło jak tego pragnął. Wiedział już teraz dwa fakty: wiedziano już o jego przybyciu i bano go się.

Przed dwoma dniami przybył na wezwanie. Tylko najwyżsi dygnitarze wiedzieli o tem, a pomimo tego — to ostrzeżenie. Czyżby sprawcy należało szukać w tych kołach? Po powrocie

z zamku nie wychodził z domu. W jaki sposób kartka znalazła się na jego łóżku, było również zagadką. Fakt ten zresztą ani o krok nie zbliżał go do wyjaśnienia sprawy. Nie pozostawało nic innego, jak cierpliwie czekać dalej. Nie można liczyć na tak wyjątkowe szczęście, by wystarczyło mu wyjść na ulicę, a przestępcy sami wpadną mu w ręce. Wzywano go na zamek, ale wolał pozostać niewidzialnym. Zniecierpliwiło to widocznie jego przeciwników, musieli się zdradzić ze swym lękiem. Ale oznaczało to, że choć jeden z pośród zamieszanych w tę sprawę musiał znajdować się w bliskości.

Zagadką było wprawdzie, skąd wzięła się kartka, ale wrzucono ją przez lufcik. Nie byłoby to bardzo nie na rękę, gdyby spróbowano zrobić nań zasadzkę. Musiałby wtedy oko w oko spotkać się ze swymi przeciwnikami. Ale przedtem trzeba się wyspać. Napewno pozostawią mu jeszcze jakiś czas do namysłu.

Rano o godzinie 6-ej i pół przyszedł posłaniec. Nick Carter odczytał list i natychmiast był gotów do wyjścia.

List zawierał wiadomość, iż od wczoraj fotograf zginął bez wieści.

W mieszkaniu fotografa zastał Nick Carter wszystkich urzędników policji kryminalnej. Powitali go z szacunkiem, znali go bowiem ze sławy. Według zwykłej swej metody wziął się on przedewszystkiem do zbadania lokalu. Fotograf okazał się agentem pewnej amerykańskiej agencji fotograficznej, który obowiązany był



przesyłać swej firmie zdjęcia najciekawszych wydarzeń chwili. Zbieg pozostawił wszystkie swe rzeczy, zabrał ze sobą tylko aparat i klisze. Fotografja Króla Illirji zapewne oddawna już była wysłana.

Właścicielka mieszkania zeznała, iż rzeczywiście poprzedniego dnia otrzymał on jakiś list przez posłańca, a w dziesięć minut potem pospiesznie wyszedł z domu.

Granice były zamknięte, Raczo musiał więc jeszcze być w kraju, ale gdzie go szukać?

Stosownie do zrobionego w nocy planu, Nick Carter wyszedł na ulicę w towarzystwie policji. Chciał, aby go widziano. Rozpoczynała się walka. Miał już w kieszeni dokument, mocą którego wszystkie organy państwowe obowiązane mu były do posłuszeństwa i mógłby zmobilizować całą Illirję.

Powróciwszy do hotelu, miał już siadać do stołu, gdy wezwano go do telefonu. Mówił sam minister sprawiedliwości. Dokonane zostało morderstwo. Jeśli go ten fakt interesuje, mógłby udać się na miejsce zbrodni, dokąd wyjeżdża niebawem. Zdaje się, że...

— Pojadę chętnie, przerwał mu Nick Carter. A kto został zabity?

— Nie otrzymałem jeszcze raportu, nadesłano mi tylko umówiony znak, iż sprawa jest poważna, chcę więc sam poprowadzić śledztwo. Przyjadę po pana za dziesięć minut. Dowidzenia.

W parę chwil potem auto ministerjalne z trudem posuwało się po rozmięklej od deszczów

szosie. — Było to zresztą zbyt pochlebne określenie dla kiepskiej, pełnej wybojów drogi, której w innym kraju nie śmiano by nazwać tem mianem. Ale Illirja szczyli się wieloma rzeczami, które w innym kraju wywoływałyby tylko ostrą krytykę.

Samochód zbliżał się do niewielkiego lasku. Był to kres ich podróży. Wysiedli i podeszli do grupki ludzi, stojących pod drzewem.

Minister szepnął do detektywa tonem nieukrywanego trjumfu: — Teraz zobaczymy, co się stało z fotografem.

Detektyw nie odpowiedział, ale gorąca fala krwi uderzyła mu do głowy. Najpierw pozwolono temu człowiekowi umknąć, a następnie uważa się za swój trjumpf, gdy przypadek oddaje jego trupa w ręce sprawiedliwości.

Papieros złamał mu się w ręce, ale nie chciał zdradzić się ze swem niezadowolaniem, gdyż w duszy obwinał samego siebie, iż osobiście nie zajął się śledzeniem fotografa.

O dziesięć kroków od rozmawiających, pod rozłożystem drzewem leżał trup zamordowanego. Zawzięta walka musiała poprzedzać jego śmierć. Nóż, którym dokonano zbrodni, tkwił jeszcze w prawej piersi ofiary.

Detektyw podszedł do zwłok. Przyjrzał się rysom twarzy, badał je uważnie, następnie odwrócił się do zebranych i rzekł obojętnym tonem:

— Zdaje się, że możemy już wracać.

— Chce nas pan tu pozostawić samych?

— Nie wiem poco mamy tu pozostawać, bo przecież tutaj nie znajdziemy fotografa.

— Nie rozumiem, odezwał się zmieszany minister. Pocóż mamy szukać fotografa, kiedy leży on przed nami.

— To jest ktoś inny. Może więc zechce mi pan użyczyć swego auta, bym mógł powrócić do miasta. Przypuszczam, że pan będzie tu jeszcze zajęty.

Minister dał znak swemu szoferowi. Gdy Nick Carter wsiadał do samochodu, rzucił za nim niechętnie spojrzenie.

Dlaczego jednak wzięto zabitego za fotografa? Chociaż Carter posiadał jedną tylko jego fotografię, to jednak na pierwsze spojrzenie poznał, że leży przed nim jakiś inny człowiek. Powolnym krokiem szedł Carter po schodach, prowadzących do jego pokoju. Otworzył drzwi: w fotelu z książką w ręce siedział przed nim — fotograf.

5.

Wiadomą jest rzeczą, iż Nick Carter z naj-
obojętniejszą miną umiał przyjmować najnie-
zwyklejsze fakty, ale tym razem i on był zdzi-
wiony.

W jaki sposób ten człowiek dostał się tutaj? Czego chciał? Jak ma się on wobec niego zachować? Czy przychodził tu jako wróg, czy jako przyjaciel?

Gość powstał z miejsca. Był to mężczyzna

średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o inteligentnych rysach. Tylko oczy jego były dziwnie ruchliwe. Albo człowiek ten miał nieczyste sumienie, że nie śmiał nikomu spojrzeć w oczy, albo też niezwykła sytuacja, w jakiej się znajdował, działała w ten sposób.

— Sam pozwoliłem sobie zaprosić się do pana. Zrozumie pan łatwo, iż nie mogłem meldować się przez potrjera, czy pokojowca, którzy już napewno wiedzą o tem, że jestem poszukiwany przez policję.

Detektyw miał się na baczności. Wszak mogła to być zasadzka. Gdyby człowiek ten nie miał nic do ukrywania, nie przychodziłby w taki tajemniczy sposób.

Fotograf ciągnął dalej: — Pan mi nie ufa. Nawiasem mówiąc, nie dziwi mnie to wcale. Muszę więc wytłumaczyć się przed panem. Najlepiej będzie, jeśli opowiem panu swoją historję. Zrozumie pan wtedy moje położenie i wiele innych rzeczy.

Z pod spuszczonych pozornie na papierosa oczu obserwował Nick Carter swego gościa. Człowiek ten był dla niego zagadką. Niecierpliwie czekał, aż zacznie swe opowiadanie.

— Uważają mnie tu za podejrzanego, gdyż byłem ostatnim cudzoziemcem, który widział Króla Illirji. Ale po zniknięciu Króla pozostałem wszak na miejscu, jak człowiek z czystem sumieniem. Zawód mój zmusza mnie do ciągłych i nagłych wyjazdów. Muszę być wszędzie, gdzie dzieje się coś niezwykłego. Wczoraj wieczorem

otrzymałem wiadomość, że mogę dokonać ciekawego zdjęcia. Nie mogłem ominąć okazji, to jest mój chleb. A teraz dowiaduję się od moich dobrych znajomych, że jestem poszukiwany przez policję, Bóg wie dlaczego. Jeśli pokażę się na ulicy, zostanę aresztowany. Wystawiam sobie, że utrzymano by mnie, dopóki nie znaleziono by istotnie winnego. A na to — przelotny uśmiech przemknął mu przez usta — na to nie mam czasu. Ja muszę być wolny.

Wywody jego były logiczne. Łatwo było zrozumieć, że nie chce on stać się kozłem ofiarnym. W słowach jego były jednak również pewne niejasności. Ale może człowiek ten mógł mu być pomocny. Znał on ukryte wejścia, które dla niego, jako zupełnie obcego w tym kraju, były zamknięte. Już samo otrzymanie pozwolenia pozwalało to przypuszczać. Utrzymywał on sam zresztą podczas wszystkich badań, iż było zgoła autentyczne. Wprawdzie nie zostało ono wciągnięte do dziennika, nie było jednak wykluczone, iż stało się to jedynie wskutek niedopatrzenia sekretarza, który akurat w tym czasie musiał wyjechać z powodu śmierci jednego ze swych krewnych. Prócz tego wspominał on o jakichś dobrych znajomych. Ciągłe jeszcze nie mógł wyrozumować, z jakimi intencjami Raczo przyszedł do niego. Bezwątpienia musiał on widzieć wiele, w każdym razie więcej od niego. To go zdecydowało: musi zrobić sobie z niego sprzymierzeńca. Nie za prędko jednak, i rozumie się, nie zadarmo.

Detektyw rzucił wypalonego papierosa i zapalił drugiego. — Hm — odezwał się wreszcie. Rozumiem pana, ale ja popełniłbym również grzech, gdybym zatrzymał pana dłużej u siebie. Przytem zdaje się pan zapominać, że ja też należę potroszę do policji.

Fotograf kiwnął głową. — Pomyślałem i o tem. Ale ja jeszcze nie skończyłem.

Nick Carter powstrzymał go. — To wszystko wcale mnie nie interesuje. Przypuśćmy nawet, że zdołałby pan przekonać mnie osobiście, czy przypuszcza pan, że policja dałaby się przekonać równie łatwo?

— Mnie znów nie interesuje zdanie policji.

— Hoho! detektyw pokręcił głową. Szanowny pan cierpi na brak pamięci. Na wstępie mówi mi pan, że policja chce pana zamknąć i że z tego powodu chciałby jej pan zejść z drogi, następnie oświadcza pan, że policja nic go nie obchodzi.

— Źle się wyraziłem. Policja może nawet nie wsadzać mnie do więzienia, ale ogranicza moją swobodę ruchów, a tej potrzebuję obecnie bardzo. Sam nie dam sobie z tem rady i dlatego poszukuję sprzymierzeńca. Nick Carter spojrział teraz innemi oczyma na swego gościa. Co też przynosi on w zanadrzu? Najpierw prosił tylko, teraz już żąda... Czyżby miał on taką siłę za sobą? I do czego potrzebuje sprzymierzeńców? Zdawał sobie sprawę iż człowiek ten tak spokojnie siedzący przed nim, a mający za sobą całą

sfore policji, czyhającej na niego, interesował go coraz bardziej.

— Posłuchaj pan, zawołał nagle Raczo. Pochylił się, oczy jego znieruchomiały nagle i odbił się w nich wyraz niezłomnej woli i nadludzkiej wprost energii.

— Idziemy obaj temi samemi drogami, choć do różnych celów. Pójdźmy razem. Pan zdejmie mi z karku łapę policyjną, ja powiem panu to co pan chce wiedzieć. Zgadza się pan? Wyciągnął rękę do detektywa. Nick Carter był teraz zdecydowany związać się z Raczo. Wewnętrzny głos mówił mu, że tą drogą w jakiś sposób dojdzie do celu.

Ale za prędko nie chciał się decydować. Jeśli fotograf był rzeczywiście tak sprytny, jak się obecnie zdawało, zbyt pospieszne zgodzenie się na jego propozycję mogłoby zbudzić w nim podejrzenia. Carter rzekł więc spokojnym tonem: Mój drogi panie, idziemy temi samemi drogami, może nawet do tego samego celu, ale ja nie mogę pana obronić przed policją.

Stanisław Raczo wyjął z kieszeni jakiś papier, wybijał takt, uderzając nim po stole i mówił: — Posłuchaj pan: ten zabity w lesie, mający być mną, jest, a właściwie był, tym sekretarzem, który wydał mi pozwolenie na sfotografowanie króla.

Nick Carter opanował się, by nie okazać swego zdumienia. Ale fotograf miał dlań jeszcze jedną niespodziankę i jak adwokat, który najważniejszy argument chowa na koniec swej mo-

wy, podał Carterowi trzymany w ręce papier. Był to duży arkusz papieru z koroną w nagłówku. Detektyw sprawdził podpis i przeczytał treść dokumentu...

Teraz nietylko miał chęć, ale i obowiązek obronić Stanisława Raczo przed policją.

6.

Samochód przywiózł dwóch mężczyzn do prezydium policji. Wysiedli. Pierwszy z nich — to fotograf Raczo; bije od niego pewność siebie i samozadowolenie. Drugi — Nick Carter ma minę chmurną, wygląda, jakby szedł za własnym pogrzebem.

Ze zdziwieniem spoglądają na nich posterunki. To oprzytomniło detektywa. Tak dalej być nie może. Przeżył zbyt wiele wrażeń, ale wola jego jest silniejsza ponad te wzruszenia. Komisarz urzędujący nie spostrzegł już nic niezwykłego w jego wyglądzie. Tem bardziej zdziwił się jednak na widok jego towarzysza. To zdziwienie tak wyraźnie malowało się na jego twarzy, że Nick Carter nie mógł ukryć uśmiechu.

— Czy mogę przedstawić panu mego pomocnika, zwrócił się do komisarza. Raczo imperytynencko patrzył w twarz komisarza, który wiedział o nadzwyczajnych pełnomocnictwach posiadanych przez detektywa, skłonił się więc tylko.

— A teraz proszę nas zameldować u pana ministra sprawiedliwości.

Komisarz zawezwał woźnego i kazał mu zaprowadzić obu panów do gabinetu ministra. Stanisław Raczo ruszył pierwszy; za nim, zagryzając wargi, szedł Nick Carter. Bezcelność tego awanturnika oburzała detektywa. Przypomnił sobie jednak dokument, jaki pokazał mu fotograf i szybko pogodził się z tą sytuacją. Trudno pomimo wszystkiego nie może pozostawić go bez swej opieki. Przeszli przez dwa pokoje, zawalonne papierami zawierającymi zapewne nie jedną ważną tajemnicę państwową, ale też nierównie więcej rozmaitych łajdactw i podłości, ukrywanych przed wiadomością publiczną. Woźny zapukał do drzwi, na których widniał napis: Prezydent policji.

Minister policji, spostrzegłszy detektywa, wyszedł na jego spotkanie z wyciągniętą dłonią. Podażył za nim prezydent policji i paru komisarzy. Nick Carter przedstawił im fotografa jako swego pomocnika i znowu na wszystkich twarzach dostrzegł wyraz zdziwienia, lepiej tylko ukrywanego przez tych dygnitarzy. Detektyw poprosił o umorzenie dochodzenia przeciwko Stanisławowi Raczo, a na poparcie swego żądania przedstawił dokument, dający mu nieograniczone pełnomocnictwa.

Było to konieczne, gdyż minister bynajmniej nie był skłonny do wydania podobnego rozkazu. Czy wiedział on o Raczo coś więcej, niż chciał powiedzieć detektywowi? Nick Carter zastanowił się chwilę.

Tymczasem Raczo stał na uboczu. Był on

zbyt ostrożny, aby wysuwać się na front tam, gdzie mogło mu grozić niebezpieczeństwo.

Wreszcie otrzymał Nick Carter żądany rozkaz, i czuł się niejako w obowiązku zatrzeć przykre wrażenie, wywołane stanowczem jego żądaniem, usiadł więc i wbrew swym zwyczajom i koniecznej potrzebie zaczął się niejako łomaczyć:

— To, com panom powiedział dziś rano, potwierdza się przez fakt, iż pan Stanisław Raczko jest pośród nas. Zachodzi więc pytanie, kim jest człowiek, którego zwłoki zostały znalezione w lesie. Przypuszczam, iż ustalenie jego osobistości wymagałoby długich poszukiwań. Jako pierwszy dowód swego talentu przyniósł mi mój pomocnik odpowiedź na to pytanie.

Nick Carter zrobił pauzę. Kilka par zaciekawionych oczu wparło się w niego. Detektyw czuł to i choć może przyjemniej by mu było, gdyby sam rozwiązał tę zagadkę, pocieszył się myślą, że czekają nań jeszcze trudniejsze zadania i ze spokojem oświadczył:

— Zmarły nazywa się sekretarz Stefan Lazar.

Cisza zaległa na chwilę.

— Wie pan, co to znaczy? zawołał minister zrywając się z fotela. Trup leży już od dwóch dni w lesie, chłop zameldował o tem natychmiast, ale ten meldunek zginął gdzieś po drodze. Licho wie gdzie i dlaczego. Jeśli zaś morderstwo dokonane zostało już przed dwoma dniami, to Lazar nie wyjeżdżał do rodziny, lecz został

wciągnięty w zasadzkę. Ostatnim człowiekiem z którym zmarły miał do czynienia, byłeś pan! I z groźną miną podszedł do fotografa.

— Znowu on. Nie pojmuję — dodał, zwracając się do Nicka Cartera, jak pan może bronić tego człowieka.

To samo pomyślał sobie również Nick Carter. A jednak nie mógł postąpić inaczej.

— Pan się myli, odparł z mocą. Pan Raczo właśnie sam zwrócił mi uwagę na te fakty. Jemu mamy do zawdzięczenia rozwiązanie tej zagadki.

Minister jak żółw ukrył głowę w ramionach Sam wąpił widocznie w swe podejrzenia.

— A teraz musimy niezwłocznie wziąć się do pracy. Proszę nam wydać upoważnienie do przeprowadzenia rewizji w mieszkaniu zamordowanego.

Mrucząc coś, dyktował szef policji żądany rozkaz.

Nick Carter podszedł do ministra i mówił mu do ucha: — Chciałbym zapytać pana o jedną jeszcze rzecz. Wezwano mnie tu dopiero w osiem dni po wypadku. Dlaczego nie wcześniej? Wszak Jej Królewska Mość domagała się tego napewno.

— Jest pan źle poinformowany, odparł minister, Jej Królewska Mość kazała pana wezwać na żądanie premjera i to po upływie kilku dni.

Nick Carter w zamyśleniu patrzył na Raczo. Wręczono mu upoważnienie. Sztywno pożegnał

się i wyszedł. Pozostali w gabinecie panowie ze smutkiem pokiwali głowami.

7.

Uprzejma staruszka, gospodyni Stefana Lazara, nie chciała zrazu wpuścić dwóch przyby-
szów do pokoju swego lokatora.

— Żałuję bardzo, ale pan Lazar najsurowiej zabronił wpuszczać kogokolwiek pod jego nieobecność. Może panowie będą łaskawi zejść później.

Aby nie stracić niepotrzebnie czasu z gadatliwą staruszką, Nick Carter zmuszony był pokazać jej rozkaz dokonania rewizji. Chętnie byłby tego uniknął, by nie przestraszać staruszki i tłomaczyć jej uprzejmie.

— Ja również bardzo żałuję, ale nie możemy przyjść później, mamy bowiem polecenie poszukać czegoś w pokoju pana Lazara.

Ostatecznie rozkaz zaopatrzony w pieczęcie odniósł skutek, gospodyni wpuściła ich do mieszkania.

Nick Carter jednym wejrzeniem objął lokal. Składał się on z dwóch pokojów: sypialnego i gabinetu. Od czego zacząć?

Ale Raczo miał już gotową decyzję.

— Podzielmy się pracą. Pan zostanie tutaj, a ja zajmę się sypialnią. Coś znajdziemy na pewno.

Nie czekając odpowiedzi przeszedł do drugiego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Detektyw

zzieleniał ze złości. Bezczelny dureń! I nie mógł mu nic zrobić, dopóki posiadał on ów tajemniczy dokument.

I czego on tu szuka? Chce czegoś, co do tego niema żadnych wątpliwości. Na palcach podszedł do drzwi. Miał wstręt do podpatrywania, ale nie było innego ratunku. Dziurka w zamku była zasłonięta. Do pioruna! Ten niepoń był szatańsko przebiegły! Dochodziły go odgłosy przesuwania mebli, wysuwania szuflad. Raczo nie tracił czasu. Nick Carter podbiegł do okna. Koniecznie musi się dowiedzieć, co on tam robi.

Tylko podstępem mógł sobie poradzić. Wyjął rewolwer i krzyknął: Stać, albo strzele! Wystrzelił w wiszące na ścianie lustro, a jednocześnie jednym susem znalazł się przy drzwiach. Ale były one zamknięte.

— Raczo! Raczo! — wołał. Nie było odpowiedzi. Odskoczył krok i z całych sił rzucił się na drzwi. Nie wytrzymały i nekły w kilku miejscach. Wyłamał deskę i wpadł do pokoju. Nie było nikogo. Otwarte okno wskazywało, kąd zbiegł Raczo. Nick spojrział przez nie na ulicę. Na zakęcie dojrzał jeszcze uciekającego, który zęgnął go ręką i śmiał się ironicznie.

Gonić go nie było celu. Detektyw odzyskał już swą zimną krew. Niepoń zdemaskował się ostatecznie. Ale czego on tu mógł szukać? Nie chodziło mu przecież o to, by popisać się swą zrecznością. Nick Carter rozejrzał się po pokoju. Wszvstko było w porządku. Szuflady były pozasuwane, meble stały na swoich miejscach. A

przecież słyszał, że je przesuwano. Może szukał i nic nie znalazł. Ironiczny jego uśmiech mówił jednak co innego.

— Pani gospodyni! zawołał. Przybyła niezwłocznie zalekniona.

— Czy pani zna człowieka, który tu był ze mną? Czy on tu już przychodził?

— Być może, ale...

— Niech pani odpowiada wyraźnie — tak czy nie. Czy on tu bywał?

— Tak.

— Jak często?

— Cztery razy.

— Co robił?

— Rozmawiał z panem Lazarem.

— O czym?

— Tego nie wiem, proszę pana...

— O czym rozmawiali?

— Mówili ze sobą szeptem. Raz tylko słyszałam wyraz Balma.

— Widzi pani, zachęcił ją Nick Carter. Coś jednak pani słyszała. A czy pani jest pewna, że słyszała pani właśnie ten wyraz?

— Tak.

— I więcej nic pani nie słyszała?

— Nie.

— Balma. Co to jest?

— Ja nie wiem, panie komisarzu.

— A kiedy ten pan był tu poraz ostatni?

— Wczoraj wieczorem. Pan Lazar wyjechał do swojej rodziny, a tamten chciał koniecznie wejść do jego pokoju. Ale ja nie pozwoliłam, bo

go cierpieć nie mogę. Wtedy on chciał mnie odepchnąć, ale nadszedł właśnie sąsiad, ten rzeźnik, wie pan. I jak się na niego zamierzył, to tamten uciekł. Tak uciekał, że oboje uśmieliśmy się z niego. A w nocy kazałam tu spać moim dwom synowcom.

— A teraz niech pani posłucha. Czy nie spostrzega pani, że w pokoju brak czegoś. Czegoś będzie tu brak napewno. Otrzyma pani nagrodę, jeśli mi wskaże czego tu brak.

— Nagrodę, mówi pan. I za co? Czy pan Lazar... Niech mi pan powie może panu Lazarowi coś się stało?

Szeptem powiedział jej do ucha: — Już nigdy nie zobaczy pani pana Lazara. Padł on z ręki morderców.

Staruszka stała, jak wrośnięta. Nie mogła wymówić ani słowa. Nick Carter próbował ją pocieszyć.

— Niech się pani uspokoi i pomoże mi szukać. Chodzi teraz o to, aby wykryć morderców.

Z trudem różwarła oczy. — Niech mi pan wybaczy, jestem tak oszołomiona.

— Niech pani szuka, napomniał ją Nick Carter.

Obejrzała się dokoła. — Wszystko jest jak było.

— Droga pani, nastawał, niech pani sobie przypomni. Wie pani już, co od tego zależy. Niech pani dobrze pomyśli.

Staruszka z wolna przychodziła do siebie. Rozglądała się uważnie. — Nie spostrzegam nic.

Nick Carter tracił już nadzieję. I co teraz? Wszystko było stracone.

— Proszę mi przynieść atrament, rzekł wreszcie. Postanowił spisać wszystkie rzeczy, znajdujące się w pokoju. Wiedział obecnie na pewno, że fotograf należał do tej bandy, która organizowała całą sprawę i która przysłała mu ostrzeżenie.

Gospodyni podeszła do biurka, ale nie znalazła tego, czego szukała.

— Przepraszam pana, muszę przynieść pióro. Pan Lazar zabrał widocznie swoje. Było ono takie piękne i ciężkie, jak z kamienia.

— Pióro... Czy Raczo tego szukał? Dziwna pamiątka.

Właściwie nie było pogo spisywać rzeczy. Co się stało, to się stało.

Pożegnał staruszkę i wyszedł. Ale coraz bardziej niezłomnem stawało się w nim postanowienie wyświelenia tej sprawy.

8.

W każdym razie posiadał jeden punkt zahaczenia: Balma.

Kim czy czem była ta balma?

Nick Carter biegł przez ulice miasta. Nie myślał o niczem, pozwalał się nieść prądowi ludzkiemu.

Illirja posiadała dotychczas wiele cech wschodnich. Zbyt długo kraj ten znajdował się pod panowaniem tureckiem, a następnie pod

wplywem innego ościennego mocarstwa, by mógł rozwinąć własną swą indywidualność. Obecnie jarzmo wyryło swe piętno na języku, zwyczajach, a nawet architekturze kraju.

Trzy razy przemierzył już pryncypalną ulicę miasta. Mijali go rozmaici przechodnie: robotnicy, żebracy, dostatnio ubrani obywatele, kobiety, pożądliwie przyglądające się wystawom, dzieci, beztroskliwie bawiące się na chodnikach. Wszystko to wylewało się z wąskich, ciemnych przecznic na główną ulicę. Trzy razy już przeszedł koło jakiegoś żebraka, który, leżąc raczej, niż stojąc u wrót jakiegoś kościoła, natrętnie domagał się jałmużny. Nick Carter przystanął, nie miał jednak drobnych. Szukał ich napróżno we wszystkich kieszeniach: Żebak chwycił go już za porę palta i czekał na datek. Gdy go jednak otrzymał, jeszcze mocniej uchwycił się nieznanego i mówił: — Pan się omylił, mój piękny panie. Aż tyle mi pan daje?

Detektyw ze zdziwieniem spojrzął na żebraka. Nie zdarzyło mu się dotąd, by ktoś odrzucał datek, dlatego że był za duży.

Rozwesołony poklepał żebraka po ramieniu.

— Może masz rację, stary, odrzekł w zadumie i teraz dopiero przyjrzał się bacznie żebrakowi. Rysy jego były ostre, wyraziste, a oczy nie miały w sobie tego tępego fatalizmu, który spotyka się zawsze u żebraków.

— Powiedźże mi wreszcie, dlaczego mnie zatrzymujesz, kiedy otrzymałeś już datek?

Żebak pokiwał głową.

— Los żąda za wielkie szczęście wielkiego okupu. Stary już jestem, więc boję się już wszystkich ludzi.

Detektyw odszedł kilka kroków. — Boisz się zawiści bogów? Cześć ci, starcze! Stworzyłeś sobie zdrową filozofję. Muszę ci dać jakieś zajęcie, byś odrobił banknot, który ci dałem.

Zawrócił i nachyliwszy się nad uchem starca, zapytał go szeptem:

— Słuchaj, znasz ty Balmę?

Detektyw zląkł się sam, widząc, jak sucha dłoń starca zacisnęła się nagle w pięść, w pierśiach sparło mu oddech, a oczy rozszerzył strach.

— Jakie słowo wymówiłeś cudzoziemcze!

Radość niemal sparaliżowała mowę detektywowi. Czuł, że znajdzie nareszcie jakiś trop.

— Mów, co wiesz, starcze. Możesz zarobić dużo jeszcze takich papierków.

Stary potrząsnął głową, przestraszony, i odrzekł: — Nie mogę o tem mówić.

— Posłuchaj mnie jeszcze. Ty nie wiesz, ani kim jestem, ani co robię. Ale wiedz, że od twojej odpowiedzi zależy wolność i życie wielu ludzi. Pomyśl chwilę o nędzy tego kraju, o głodujących dzieciach i ojcach, którzy dopiero wtedy będą w stanie kupić chleba dla swoich, gdy państwo otrzyma pożyczkę.

Słowa te musiały staremu trafić do przekonania, Nick Carter ciągnął więc dalej: — Czy możesz to wziąć na swoje sumienie, byś miał przemilczeć rzeczy, od których zależą losy tego kraju? Ty sam nie pragniesz już bogactwa dla

siebie, ale pomyśl o tych, którzy będą głodowali dlatego, że ty nie chcesz mówić.

— To nieprawda, odrzekł stary. Ty chcesz mnie złapać. Co mnie to wszystko może obchodzić?

Nick Carter czuł jednak, że wziął starego za serce. Bronił się on jeszcze, ale ulegnie wkońcu i powie wszystko.

— Za dobre odpłacasz mi złem, nacierał dalej. A wiesz przecież, że los mści się za to:

— Panie, cofnij te straszne słowa. Widzisz przecież, że strach zamknął mi usta i mówić nie mogę.

— Więc pisz!

Starzec odwrócił się, szeptał jakąś litanję, przeplataną przekleństwami i pogrózkami, miotanemi w stronę niewidzialnych wrogów, wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Daj papier.

Nick Carter podał mu kartkę, wyrwaną z notesu. Stary pisał coś chwilę, rzucił kartkę na ziemię, porwał się z miejsca i uciekł w ciemną przecznicę.

Nick Carter podniósł papier i odczytał go przy świetle latarni.

— Jeśli chcesz znaleźć to, co ma zaspokoić głód biedaków, to wejdź na górę słońca i czekaj, aż ono wzejdzie tam, gdzie w złocie i purpurze przybywa codziennie.

Nick Carter zaśmiał się. Przeżył przynajmniej ucieszny epizod. Do diabła, wpadł niechcący w sidła starego, sprytnego cygana. Po-

dobną przepowiednię mógłby od biedy sam sfa-
brykować. Dał się wziąć na gadaninę starego
szarlatana ulicznego.

Powrócił do hotelu, rzucił się na łóżko i za-
snął natychmiast.

Gdy się przebudził, było jeszcze ciemno.

Zaprzagnął świeżego powietrza.

Na uśpionych ulicach nie było jeszcze żadne-
go ruchu. Wkrótce znalazł się za rogatkami mia-
sta. Wśród nagiej płaszczyzny sterczał niewielki
pagórek. W tę stronę skierował detektyw swe
kroki i niebawem znalazł się na szczycie pa-
górka, skąd rozciągał się widok na pobliską
stolicę.

Usiadł na kamieniu i nagle przypomniała mu
się wczorajsza przepowiednia. Właśnie znajdo-
wał się na górze, wprawdzie bardzo niskiej i cze-
kał — na co? a prawda... na słońce...

Do takich zabobonów musi się już uciekać
w swym pościgu za jakimś Balma. Musi to być
jakiś tęgi bandyta. Strach budzi samo jego imię.
Końcem patyką, który wpadł mu w rękę, zaczął
pisać na piasku B. A. L. M. A.

Stało teraz przed nim to słowo, za którego
odcyfrowanie dałby wiele. Co miał wspólnego
zabity sekretarz z tym tajemniczym Balma?

Daleki tętent obudził go z zadumy. Nie miał
ochoty spotkać się z kimkolwiek. Wsunął się w
krzaki i nasłuchiwał. Tętent zbliżał się zwolna
Dokładnie już słyszał uderzenia kopyt końskich
o nierówność drogi. Może oto nadjeżdża ten ktoś,
na kogo czekał?...

Z ciemności wyłonił się najpierw łeb koński, a następnie jeździec.

Nick Carter do bólu przygryzł sobie wargi, by nie krzyknąć.

Była to królowa.

Błada była jej twarz, zmęczone ruchy. Zsunęła się z siodła i usiadła na tym samym kamieniu, na którym przed chwilę siedział detektyw.

Koń stał nieruchomo obok niej. Nick Carter nie wiedział, czy ma wyjść ze swego ukrycia, czy też pozostać niewidzialnym. Siedział tymczasem bez ruchu i przyglądał się pięknemu obrazkowi.

Królowa wsparła głowę na dłoni i przyglądała się wschodzącemu słońcu. W krzakach zaćwierkało ptactwo. Czerwono-złote strzały rozbłysły nagle na wschodzie, a jeden z promieni ozłocił suknię królowej. Oślepiona przymknęła powieki i jeszcze niżej pochyliła głowę.

Nagle z ust jej wyrwał się okrzyk. Zerwała się z miejsca i stała jak spłoszona łania. Wzrok miała nieruchomo utkwiony w wyryty na piasku napis: B. A. L. M. A.

Bała się obejrzeć za siebie. Ktoś stał tam może! A ona była sama. Znikąd nie mogła spodziewać się pomocy. Kto mógł wypisać ten wyraz, jeśli nie on?

Koń zadrzał również bojaźliwie. Precz, byle precz stąd. Jednym susem wskoczyła na siodło i pomknęła w kierunku miasta.

Nick Carter stał bez ruchu. Dziwne myśli kielkowały mu w mózgu, niesamowite powstały obrazy.

— Muszę cię uratować — wyszeptał, a słowa jego brzmiały jak przysięga.

9.

Przez całą noc deszcz padał bez przerwy.

Nick Carter szedł w kierunku zamku. Szedł drogą okólną, zatrzymując się na rogach ulic, kryjąc w bramach, aż wreszcie upewnił się, że nikt go nie śledzi.

Przybywszy pod mur zamkowy, w umówiony sposób zapukał do maleńkiej furtki, która otworzyła się niebawem.

Oczekiwał nań oficer, który wręczył mu dokładny plan zamku.

Nick Carter usiadł i zaczął coś wymierzać, obliczać, oznaczać pewne miejsca chorągiewkami. Po godzinie wstał, widocznie zadowolony z rezultatu swych wyliczeń. Podziękował oficerowi za dalszą pomoc, wziął latarkę i odszedł z planem w ręce.

Mijał komnaty, urządzone z barbarzyńskim przepychem pierwotnych narodów Azji, obszerne sale, z których ścian patrzyły na niego potężne postacie okutych w stal rycerzy i poważnych matron, zeszedł następnie do podziemi o wilgotnem, zatekłem powietrzu. W jednej z piwnic zatrzymał się przy ogromnym słupie granitowym, na którym wspierał się ciężar potężnych murów.

Zgasił latarnię i oczekiwał.

Czekał długo. Z wilgotnych ścian sphywała od czasu do czasu kropla wody i spadając na

ziemię, wydawała matowy dźwięk. Oczy detektywa z wolna oswajały się z ciemnością.

Nagle uszu jego doszedł cichy szmer... A może mylił się. Która mogła być godzina? Nie pamiętał, czy nakręcił zegarek, a w ciemności orjentować się w czasie jest bardzo trudno.

Gdy sięgnął po zegarek, zaszeleściło coś znowu. Tym razem słyszał zupełnie wyraźnie. Szmer zbliżał się. Wyteżał wzrok, ale nie mógł jeszcze nic dojrzeć. Ciemność była dokoła nieprzenikniona. Czuł jednak, że ktoś znajdował się w pobliżu. Miał już zamiar zapalić zapałkę, ale bał się zdradzić przed czasem ze swą obecnością. Przeciwników mogło być kilku.

Nagle ukazała się cieniutka smuga słabego światła. Oświetliła ona granitowy filar, na którym zamajaczyła czyjaś ręka, uzbrojona w żelazną pałeczkę.

Nick Carter wypadł ze swego ukrycia, skoczył w kierunku światła, pochwycił wyciągniętą rękę, wyrwała mu się, runął więc całym ciężarem swego ciała na przeciwnika, którego przeczuwał raczej, niż widział w ciemnościach. Za chwilę dwa ciała zwarły się ze sobą i runęły na ziemię.

Zawrzała walka. Nick Carter miał przewagę atakującego, ale przeciwnik jego był zręczniejszy. Jak węgorz wyslizgiwał się z otaczających go ramion. Gdyby było widno, Nick Carter mógłby był zastosować którykolwiek z niechybnych chwytów japońskiego dżu-dzitsu. Nagle uderzył głową o granitowy filar. Poczul gwał-

towny ból, zdawało mu się, iż zaczyna tracić siły. Spostrzegł to widocznie przeciwnik, bo szarpnął się nagle i wyrwał z objęć detektywa. Ale w tej samej chwili, gdy próbował podnieść się, Nick Carter schwycił go za nogę, pociągnął i powalił znowu na ziemię. Chwył był mistrzowski. Uderzywszy głową o kamienną posadzkę, nieznajomy stracił przytomność i leżał, jak martwy.

— Ten ma chwilowo dosyć, pomyślał detektyw, podnosząc się z ziemi. Oddychał ciężko, odczuwał dotkliwy ból w głowie, ale radość z odniesionego zwycięstwa nad niebyłe jakim przeciwnikiem dodała mu sił. Zapalił znów swą latarkę i podszedł do pokonanego. Leżał on bez życia z twarzą zwróconą ku ziemi, a z rany na skroni obficie sphywała mu krew. Nick Carter odwrócił go twarzą ku sobie i okrzyk zdziwienia wyrwał mu się z piersi:

— Tyś to jest, mój stary przyjacielu! zawołał, kiwając głową. W takim razie i twoi współnicy muszą być niedaleko.

Poszukał na ziemi i podniósł krótką metalową pałeczkę, pokrytą na końcu dziwaczными ozdobami. Zważył ją w ręce, była dość ciężka: Trzymając ją w ręce, podszedł do filara.

— A więc to jest całe rozwiązanie zagadki, szepnął do siebie, z uśmiechem zadowolenia przyglądając się filarowi.

Człowiek, leżący na ziemi, poruszył się, Nick Carter podszedł do niego, niosąc w rękach kajdanki. Z trzaskiem zamknęły się one dokoła rąk leżącego. Teraz detektyw wziął się do prze-

mywania jego rany, a zabieg ten zwolna przywrócił mu przytomność. Zemdlny powiódł dookoła oczyma.

— Dobrze ci jest w tych mankietach, z gryzącą ironją zwrócił się doń detektyw. Nie spodziewałeś się, że mnie tu spotkasz.

Ranny mruczał coś pod nosem. Nick Carter ciągnął dalej: — Tymczasem pozostawię cię w spokoju. Musisz mi tylko powiedzieć, kto to jest Balma.

Ranny wzdrygnął się. Lęk odbił się w jego oczach

— Mów prędko, bo muszę odejść.

Ranny pokręcił głową.

— Dobrze. Nie chcesz mi odpowiadać. W takim razie sam poszukam Balmy. Ciebie pozostawiam tutaj, gdyż tutaj będziesz najbezpieczniejszy. Jeden dzień wytrzymasz. Nawet dwa. Illirja nie jest tak wielka, abym nie miał odszukać Balmy. Do widzenia. Mam nadzieję, że nie będziesz się tu nudził.

Oddalał się wolno. Zatrzymało go wołanie rannego:

— Na litość boską, nie pozostawiaj mnie tu samego. Powiem już wszystko.

Nick Carter zawrócił i rzekł:

— Tak, mój drogi, to będzie dla ciebie najlepsze. A więc zaczynaj.

Ranny rozpoczął swą spowiedź. Detektyw słuchał go z zapartym oddechem. Miotał nim gniew i wstręt. — A lotry! syczał co chwila. Odpokutujecie za to wszystko.

Po skończonej spowiedzi detektyw wziął rannego pod ramię i wyprowadził go na powietrze.

Ze zdumieniem przyglądały im się warty, ale nikt nie śmiał zadawać detektywowi jakichkolwiek pytań. W komendanturze zamku polecił Nick Carter osadzić więźnia i trzymać go tam do dalszych jego dyspozycji.

W dwie godziny później odleciał Nick Carter aeroplanem do Rzymu.

10.

W Rzymie udał się Nick Carter przedewszystkiem do Emilia Gilotto.

Był to człowiek, który znał Rzym. Rozumie się, nie ten Rzym turystów i przewodników, ale Rzym podziemny, Rzym zbrodni i występku.

Nick Carter wyświadczył mu kiedyś pewną usługę i od tej pory Gilotto służył mu zawsze swą pomocą, a była ona warta więcej, niż usługi stu policjantów.

I teraz odbyli oni długą naradę, Gilotto zaklinał detektywa, by odstąpił od swych planów:

— Niech się pan wstrzyma choć trzy dni, a dowiem się wszystkiego.

— To niemożliwe. Dziś wieczorem muszę odlecieć z powrotem. Dotrę do niego choćby broniło go stu tygrysów.

— A więc choć dwa dni. Niech mi pan pozostawi choć dwa dni, a będziemy je mieli wszystkie.

— Nie, dziś wieczorem, uparł się detektyw. Gilotto otarł sobie pot z czoła. — Idzie pan na pewną śmierć.

Nick Carter wyprostował się. — A gdyby nawet tak było, moim obowiązkiem jest odebrać wszystko natychmiast. Spieszmy się, Emilio.

Stary wyjął z biurka kawałek papieru i nagryzmolił na nim kilka słów.

Z niecierpliwością pochwycił Nick Carter ten świstek papieru.

Gilotto stał drżący i patrzył na niego oczyma pełnemi lęku.

— Odwagi! śmiał się detektyw. — Odkąd to stałeś się babą?

— Panie... Pan nie wie... Wielka jest potęga tego...

Urwał, jakby nie śmiał wymienić tego imienia.

Nick Carter z wdzięcznością uściśnął mu rękę i wyszedł.

Przerażenie starego zaniepokoiło go. Musiało w tem coś być, że nawet Gilotto odczuwał strach. Nie ukrywał przed sobą niebezpieczeństwa, związanego z tem przedsięwzięciem. Zbliżał się najniebezpieczniejszy moment, ale walka była ulubionym żywiołem tego dziwnego człowieka, a trudności potęgowały w nim tylko energję. Przywołał auto, po dziesięciu minutach wysiadł i wskoczył do tramwaju, potem znów wziął auto. Gdy wydostał się na przedmieście, poszedł piechotą. W lewej dłoni miał ukryty

miniaturowy plan i orjentował się według niego doskonale.

Domy stawały się coraz rzadsze, mniejsze i brudniejsze, zaczynały się pola. Ujrzał nagle czteropiętrowy, kwadratowy dom z maleńkimi okienkami.

Detektyw podszedł do niego, ujął za klamkę i zapukał raz po razie trzy razy, potem zaś jeszcze dwa w dłuższych odstępach. Zdawało mu się, że ktoś obserwuje go, ale nie mógł dojrzeć twarzy. To stanie pode drzwiami było nad wyraz przykre, ale upłynęło jeszcze sporo czasu, aż we drzwiach uchyliła się wąziutka szpara.

— Conida, szepnął detektyw w uchylone drzwi i wyciągnął rękę, trzy środkowe palce prawej składając na wskazującym palcu lewej ręki.

Drzwi rozwarły się szeroko. Trzech ludzi niemłodych już, ale krzepkich jeszcze, obrzuciło go podejrzliwymi spojrzeniami. Nick Carter stał wyprostowany. Pamiętał wszystkie wskazówki Gilotta. — Mam polecenie do króla, wymówił przepisową formułę.

Twarze trzech mężczyzn spogodniały. — Król oczekuje cię, odrzekł jeden z nich. Wzięli detektywa między siebie i poprowadzili po schodach. Na pierwszym piętrze pozostawili go w pustym pokoju i znikli, natychmiast jednak otworzyły się jakieś drzwi i ktoś skinął na niego. Wszedł i znalazł się w dość obszernym pokoju. Przy oknie, na wysokiem krześle siedział jakiś mężczyzna. Wszystko było w nim stare,

w oczach błyszczał tylko młodzieńczy zapach.

— Witam cię, odezwał się, przynosisz mi wiadomości od króla?

Nick Carter ułożył sobie dokładny plan postępowania. Gilotto wtajemniczył go tylko w umówione znaki i formuły związku Balma, szczęście i spryt musiały mu dopomóc do osiągnięcia tego, czego pragnął.

— Muszę pomówić z tobą w cztery oczy, rzekł Nick Carter.

Na rozkazujący znak starca trzej wartownicy, którzy stali pod ścianą, opuścili pokój. —

— Mów, odezwał się starzec.

Nick Carter chłodno spojrział mu w oczy. — Musisz mi oddać kamienie, rzekł ostro.

Starzec nie okazał żadnego zdziwienia.

— Chcesz te świecidełka? — Podniósł swe błyszczące oczy. — A co mi dasz za to?

— Filina.

Starzec zacisnął palce, pierś mu zafalowała. — Wiesz, gdzie on jest?

— Mam go w mych rękach.

— Dobrze, zaczekaj pół godziny.

Zastukał laską w podłogę. Jakiś człowiek wszedł do pokoju. Starzec zamienił z nim kilka słów szeptem i odesłał go znów gościem.

Nick Carter usiadł pod ścianą, tak, aby mógł widzieć i drzwi i okno. Cisza zapanowała zupełna. Słychać było każdą muchę, przelatującą w powietrzu. Starzec zdawał się drzemać. Nick Carter wyjął zegarek. Była już piąta.

Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili ten sam

człowiek wszedł do pokoju z niewielką kasetką w rękę.

Starzec podniósł oczy na detektywa. — Kto ty jesteś?

— Jestem Nick Carter.

— Ufam ci i zwracam tę kasetę. Z boku znajduje się guziczek, który ją otwiera. Naciśnął go. Wieko odskoczyło.

Nick osiągnął to, czego pragnął. Kryjąc swe zadowolenie, rzekł: — Każ komuś, by pojechał ze mną, wydam mu Filina.

— To niepotrzebne. W Illirji mamy braci, którzy go zabiorą.

Nick Carter podszedł do fotela. Starzec zdawał się znów drzemać. Złożył przed nim lekki ukłon i wyszedł.

11.

Następnego ranka nad stolicą Illirji ukazał się samolot i zatoczywszy łuk, wylądował na lotnisku. Nick Carter wyskoczył lekko z kabiny.

Czekał już na niego samochód. Detektyw usiadł przy kierownicy. Wiedział, jak niecierpliwie czekano na niego. To zmuszało go do pośpiechu.

Minał kilka ulic i mostów, duży plac i przez otwartą bramę zajechał przed zamek. Nick Carter wyskoczył pośpiesznie, zrzucił z siebie kostjum lotniczy. Miał pod nim elegancki smoking, który pomimo długiej podróży nie stracił nic ze swej świeżości.

Nióśł pod pachą niewielką kasetkę.

Przez schody, długie korytarze i wspaniałe sale biegł niemal do małego saloniku, w którym oczekiwała nań królowa.

Skłonił się przed nią głęboko.

— Dziękuję Waszej Królewskiej Mości za jej cierpliwość i przepraszam bardzo, że przybywam tak późno. Ale informacje Waszej Królewskiej Mości były tak skąpe, że z trudem musiałem je sobie sam zdobywać.

Łza zabłysła w oczach królowej. — Szczęśliwa jestem, widząc pana znów u siebie. I do prawdy nie wiem, jak panu dziękować... Uratował pan kraj i mnie...

Prawie poufałym ruchem postawił przed królową przyniesioną kasetę.

— Ten podarunek przysyła królowej Ilirji Balma.

Rzuciła się gwałtownie na kasetkę. Nacisnął ukrytą sprężynę, wieko odskoczyło, na niebieskim pluszu leżały, błyszcząc i mieniąc się wszystkimi kolorami, bezcenne klejnoty.

Z zapartym oddechem przyglądała się królowa tym skarbowi — Bogu niech będą dzięki! szepiała.

Nick Carter czekał cierpliwie, wreszcie zaczął mówić przyciszonym głosem:

— Złoczyńcy zostali ukarani. Sekretarz padł z ręki swego współnika, Raczo czyli Filino znajduje się już w rękach Balmy. Był to jedyny sposób szybkiego zakończenia sprawy. Obeszło się też bez rozpraw sądowych, które

mogłyby zaszkodzić Illirji. Filino musiał popełnić jakieś straszne zbrodnie, gdyż związek za wydanie go w jego ręce zwrócił te klejnoty.

— Te nieszczęśliwe kamienie! skarżyła się królowa. Powierzyłam je sekretarzowi i dałam mu pewne polecenia.

— Wasza Królewska Mość nie ma potrzeby oskarżać się. Było to bardzo rozumne zarządzenie, iż bezcenne klejnoty królów Illirji, wystawiane na widok publiczny w sali tronowej, zostały zastąpione przez imitacje. Przykry wypadek chciał, iż sekretarz Lazar, któremu powierzona została ta delikatna misja, okazał się niegodnym tego zaufania.

Stanisław Raczko, który zbiegł z Balmy, odkrył w starych kronikach tajemnicę Króla Illirji.

Nick Carter ujął znów w ręce kasetkę. Może Wasza Królewska Mość raczy postawić te klejnoty na ich dawnym miejscu.

Królowa uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Chodźmy.

Warty usunęły się, prezentując broń, pieczęć i odpadły. otworzyła się sala królewska. Ostrożnie postawił Nick Carter kasetkę, a sam podszedł do postumentu, zdjął z niego pluszowe pokrycie, wyjął z kieszeni małą pałeczkę, podobną do obsadki, i zaczął nią manipulować.

Królowa stała obok z zaciśniętymi rękami a głębokie wzruszenie malowało się na jej twarzy.

Wówczas Nick Carter manipulował cierpliwie swą pałeczką. Wreszcie udało mu się przełamać w odpowiedni sposób, coś zgrzytnęło i w

aureoli blasków wylonił się z postumentu prze piękny, szczerozłoty posąg Króla Illirji, arcydzieło sztuki złotniczej 16-go wieku.

— A teraz mogę dokończyć me opowiadanie rzekł spokojnie Nick Carter.

Raczo zażądał od Lazara, którego weksle poskupywał, tej pałeczki, której sekretarz używał jako obsadki i na której końcu znajdował się klucz, wprowadzający w ruch mechanizm Króla Illirji i pozwalający ukryć posąg w jego postumencie. Lazar nie chciał dać mu klucza, gdyż sam miał zamiar ukraść statwę. Aby zyskać na czasie, zaproponował mu sprzedaż na wspólny rachunek powierzonych mu klejnotów królewskich. Raczo zgodził się na to, ale nie chciał wyrzec się nadziei skradzenia posagu. Lazar zdażył już ukryć posąg w postumencie. Podejrzenia padły na Raczo, znalazł się on pod dozorem policji, ale zdołał zmylić czujność władz, wciągnął go w zasadzkę i zabił. Ale Lazar nie miał przy sobie obsadki. Raczo znalazł przy nim natomiast upoważnienie do skopjowania klejnotów królewskich. Oceniając ważność tego dokumentu, który w rękach przeciwników Waszej Królewskiej Mości mógłby stać się niebezpieczną bronią, przyszedł on do mnie, prosząc o opiekę. Podczas rewizji w mieszkaniu Lazara odnalazł wreszcie obsadkę. Ale wówczas właśnie popełnił błąd i zbiegł. Uchwyciłem wtedy tajemniczy związek, zachodzący między temi wszystkimi zawiłemi faktami i zaarrestowałem Raczo.

W Rzymie odzyskałem klejnoty, które przez

rozmaitych pośredników dostały się w ręce Balmi, która poznawszy, czyją są one własnością, miała zamiar szantażować Waszą Królewską Mość. Oto wszystko co miałem do zakomunikowania, skończył Nick Carter, składając przed królową głęboki ukłon.

— Jak mam panu podziękować, pytała królowa, głęboko wzruszona.

— Wasza Królewska Mość podziękuje mi najlepiej, jeśli raczy przyjąć natychmiast bankierów, oczekujących w poczekalni na audjencję.

— Panie Carter, odrzekła królowa, pan jest cudotwórcą.

— Nie, odparł skromnie, ja umiem tylko czekać na zdarzenia i umiem w nich czytać.

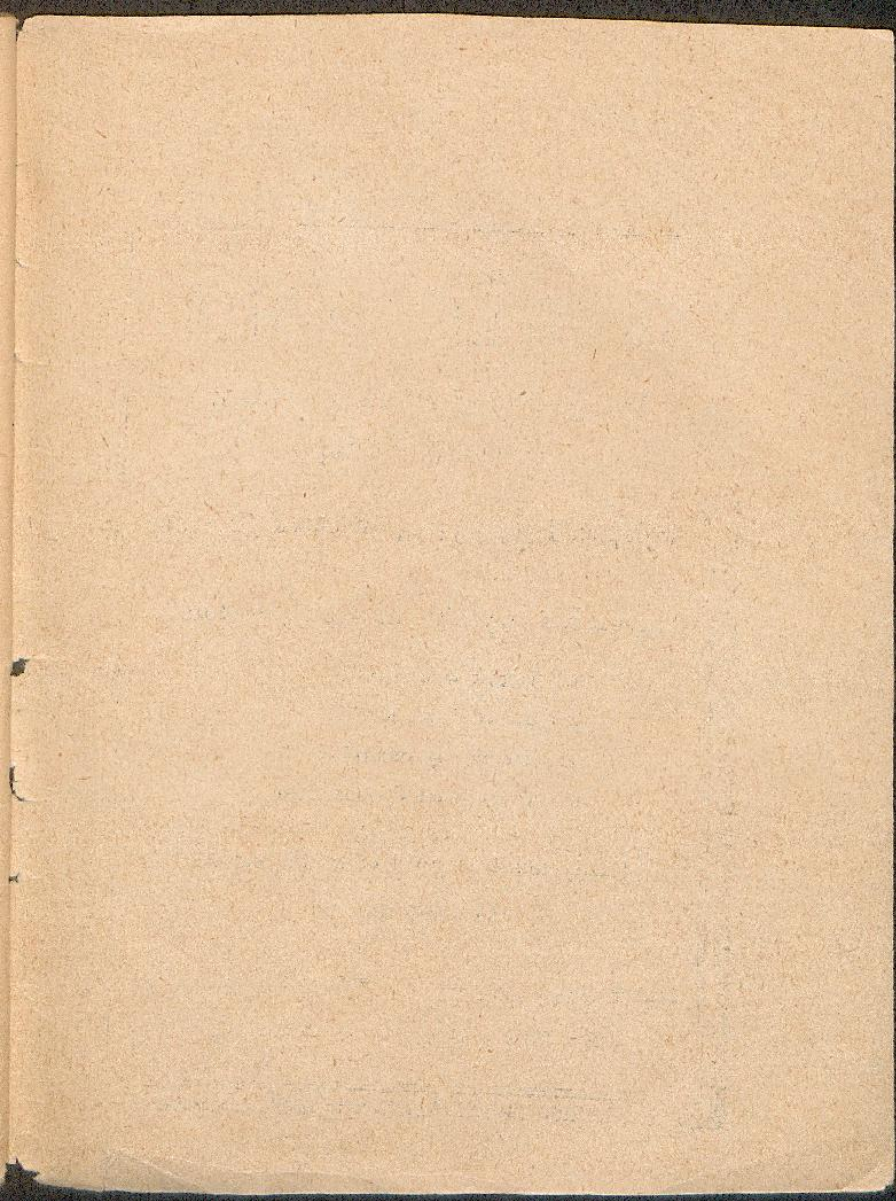
K O N I E C



Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

1875





23. 5. 4

Nowy Nick Carter

**Przygody słynnego detektywa
amerykańskiego**

Najlepsze fascynujące powieści kryminalne

Dotychczas wyszły następujące tomiki:

1. Twarz w oknie
2. Ukradziony król
3. Niezwykły oskarżyciel
4. Tajemnica Sumerwillu

Każdy tomik stanowi oddzielną całość.

Cena 35 groszy.

**Nakładem „Nowego Wydawnictwa“
Warszawa ul. Sienna 3.**